

Pop Art- Colours of Ostrava

Data publikacji: 22.07.2012 9:22

Kolejna wakacyjna wyprawa Pop Artu w całości poświęcona zostanie 11. edycji festiwalu Colours of Ostrava. Czy debiut w Dolnych Witkowicach zdał egzamin? I kto, naszym zdaniem, zasłużył na największe oklaski? O tym poniżej, w recenzji czterodniowego festiwalu, który odwiedziły tłumy publiczności.

Colours of Ostrava (12-15. 7., obszar Dolnych Witkowic)

Szok, jakiego doznałem po przekroczeniu festiwalowej bramy usytuowanej w Kopalni Hlubina, można porównać tylko z wylądowaniem Neila Armstronga na Księżycu. I zazdrościłem pionierom kosmosu, że mogli skorzystać z dobrodziejstw stanu nieważkości. Na tegorocznym Colours brak grawitacji bardzo by się przydał. Organizatorzy prawie wszędzie wysypali bowiem tony dużych kamieni, a więc poruszanie się po obszarze festiwalu wymagało butów z podeszwami "vibram" i żelaznych nerwów. Muzyka, wiadomo, łagodzi jednak obyczaje. Wystarczyły więc pierwsze tony koncertu Kronos Quartet i nogi same zaczęły lewitować. Kakofonia tego amerykańskiego kwartetu smyczkowego, spotęgowana wyczynami szalonego fińskiego akordeonisty Kimmo Pohjonen, była szczytowym momentem czwartkowego wieczoru. Miłośnicy przewidywalnych harmonii oklaskami nagrodzili równie udany koncert kanadyjskiego piosenkarza Rufusa Wainwrighta. Na żywo Rufus sprawdził się, moim zdaniem, lepiej, niż na swoich sterylnych poniekąd płytach studyjnych. W czwartek, w pierwszym dniu festiwalu, jeszcze nie siąpiło, ale był to tylko wypadek przy pracy.

Piątek masakrowany był w mediach jako wieczór jazzmana Bobbiego McFerrina i amerykańskiej rockowej grupy The Flaming Lips. Tymczasem wszystkich przyćmił genialny koncert Antoniego Hegarty, brytyjskiego wokalisty nagrywającego pod artystycznym pseudonimem Antony and The Johnsons. Brytyjczykowi towarzyszyła Filharmonia Ostrawska pod batutą Anthoniego Weedena, za fortepianem błyszczał Francuz Gaël Rakotondrabe. Zabrzmiały wszystkie najważniejsze utwory, którymi Hegarty rozczulił do łez takich artystów, jak Leonard Cohen, David Bowie, Lou Reed czy Björk. Na Colours można było usłyszeć jeden z najbardziej oryginalnych głosów współczesnej muzyki. Hegarty, ubrany w typowy strój kobiety noszony w hrabstwie Sussex, swój występ dopieścił do najmniejszego szczegółu. Doczekałem się też swojego ulubionego utworu w karierze tego artysty, "Another World" - dorosłego odpowiednika "Pust wsiegda budet sołnce".

Trzeci dzień festiwalu stał pod znakiem zwiedzania przemysłowego serca całego obszaru. Kominy huty (tej w Boguminie) widzę z okna swojego mieszkania, dlatego też witkowickie pejzaże nie robiły na mnie większego wrażenia. Rozumiem jednak, że dla praskich uczestników festiwalu przemysłowe kulisy były czymś wyjątkowym. Na pewno wyjątkowa była sala koncertowa "Gong" znajdująca się w odnowionym i odpowiednio zaadaptowanym obiekcie zbiornika gazu. Na tej scenie zagościły bardziej kameralne, zazwyczaj jazzowe koncerty. Z powodu ograniczonej liczby miejsc bramkarze wpuszczali do sali góra 1500 osób. Na nocny koncert libańskiego trębacza Ibrahima Maaloufa stawiłem się zatem godzinę wcześniej, punkt o północy. Ten, kto spóźnił się choć odrobinę, zaprzepaścił jeden z najlepszych występów tegorocznego festiwalu. Z genialnych wibracji leczę się do dziś. Kwartet jazzowy Ibrahima Maaloufa rozchwytywany jest od Nowego Jorku po Sydney, a płytę "Diagnostic" okrzyknięto objawieniem ubiegłego roku. Chopin w połączeniu z Led Zeppelin, śniadanie w trawie po ataku bombowym na Bejrut, to tylko niektóre obrazy, które majaczyły mi przed oczami. W sobotę dobry koncert dała też francuska piosenkarka ZAZ, takie sympatyczne połączenie Edith Piaf z Ewą Farną. Rewelacji, koncertu roku (jak napisał czeski tygodnik Reflex) w przypadku ZAZ chyba jednak nie było.

Polskich barw, i to udanie, broniła punkowa formacja R.U.T.A. Muzycy rekrutujący się z takich projektów, jak Kapela ze Wsi Warszawa, Moskwa czy Dezerter, zwabili pod scenę Arcellor Mittal Stage tłumy miłośników ostrego grania. - Czesi to nasi przyjaciele - usłyszeliśmy od wokalisty Pawła Gumoli. Twórczość R.U.T.A opiera się na punkowej energii, anarchistycznym odpowiedniku wolności słowa, muzycy wykorzystują też stare, ludowe teksty okraszone wschodnim, białoruskim folklorem. Polacy rozpalili publiczność, doprowadzając ją do białej gorączki, która

towarzyszyła jej także podczas koncertu brytyjskiego wokalisty Finka - folk-rockowej gwiazdy wytwórni Ninja Tunes. Najlepiej wypadły nowe utwory tego artysty pochodzące z płyty "Perfect Darkness". Majstersztyk, salwy oklasków, ale też trochę przypadkowych widzów rozbawionych alkoholem i przeszkadzających reszcie, to właśnie zapamiętałem z Finka. Na głównej scenie uroczo zagrały m.in. ostrawskie Buty promujące najnowszy album "Duperele". Słabo wypadła zaś gwiazda niedzielnego wieczoru, Janelle Monáe. Wizualna jazda, ale w moim przypadku bez gęsiej skóry. Przerklamowana piosenkarka R&B nie znalazła wspólnego języka z publicznością, podobnie jak w sobotę Alanis Morissette. Koncert Alanis był najslabszym akcentem całego festiwalu. To była porażka poniesiona za mikrofonem i konsolą dźwięku, najgorszy koncert w całej 11-letniej historii Colours.

Głos Ludu - Gazeta Polaków w Republice Czeskiej